

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 28

Katowice, dnia 8-go lipca

1928

Niedziela szósta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Rzymian z rozdziału VI.,
od wiersza 3—11.

Bracia! Którzykolwiek w Jezusie Chrystusie jesteśmy ochrzczeni, w śmierci jego ochrzczeni jesteśmy. Albowiem jesteśmy z Nim pospołu pogrzebieni w śmierć przez Chrztę; by jako Chrystus wstał z martwych przez chwałę Ojcowską, tak i my, żebyśmy w nowości żywota chodzili. Bo jeśliśmy się wszczepionymi stali w podobieństwo śmierci Jego, wspołem i w zmartwychwstaniu będziemy. Wiedząc to, że stary nasz człowiek pospołu jest ukrzyżowany, aby zepsowane było ciało grzechu, i dalej nie służyli grzechowi. Bo kto umarł, usprawiedliwion jest od grzechu. A jeśliżemy z Chrystusem umarli, wierzymy, iż wespół też z Chrystusem żyć będziemy. Wiedząc, że Chrystus, powstawszy z martwych, więcej nie umiera, śmierć Mu więcej panować nie będzie. Bo iż umarł grzechowi, raz umarł; a iż żyje, żyje Bogu. Także i wy rozumiecie, iż jesteście umarłymi grzechowi, a żywymi Bogu w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

EWANGELJA

u św. Marka, w rozdziale VIII, od wiersza 1—9.

W on czas: Gdy koło Jezusa zgromadziła się mnoga rzesza, a nie miała co jeść, przywołał uczniów i rzekł im: Żal Mi ludu, bo już od trzech dni trwa przy Mnie, a nie ma co jeść. A jeśli ich puszczę zgłodniałych do domów swych, w drodze zesłabną, bo niektórzy z nich przybyli z daleka. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Skądże mógłby kto nakarmić ich chlebem tu na pustkowiu? A On ich zapytał: Ile macie chlebów? Oni zaś odrzekli: Siedm. Polecił tedy rzeszy, by usiadła na ziemi; a biorąc siedm chlebów i dzięki czyniąc, łamał i rozdawał uczniom swoim do rozdzielania; a oni podawali ludowi. Mieli też trochę rybek; te także pobłogosławił i poleciał rozdać. Jedli tedy i nasycili się; a z resztek ułomków zebrano siedm koszyków. A tych, którzy się posilili, było około czterech tysięcy i rozpuścił ich.

NAUKA.

Prawdziwa dobroczynność wymaga poświęcenia i ofiar. Jedynie ten zasługuje na nazwę dobroczyńcy ludzkości, kto dobrowolnie, z ujmą dla siebie, niesie jej pomoc, kto dla pomnożenia środków tejże pomocy wyrzeka się wszelkiej przyjemności i woli być mniej bogatym, byleby tylko bliźni jego nie ulegał nędzy. Szczególnie zaś zasługuje on sobie na ten szacowny tytuł wtędy, kiedy ogranicza się do najpotrzebniejszych sobie, niezbędnych tylko rzeczy; kiedy uciążliwe podejmuje prace i na wielkie naraża się niebezpieczeństwa; kiedy nawet to, co ma najdroższego, kiedy życie swoje kładzie za braci swoich, jak tego, liczne ma-

my przykłady w żywotach chrześcijan. Ponieważ zaś prawdziwa dobroczynność wpływem jest przeciężenia samego siebie, swoich przyrodzonych skłonności, przeto też ten, który ją spełnia, musi mieć arcyważne do tego i o wiele silniejsze pobudki, niżli są zmysłowe, aby mógł zapanować nad przywiązaniem swoim do skarbów świata tego, do zbytku, rozkoszy i życia wygodnego. A jakież to pobudki podsuwa zwykle ludziom mądrość świata tego dla osiągnięcia tak szczytnego celu?

Pierwszą taką pobudką ma być jak mówią, własny interes człowieka. Czy podobna? własny interes? który płodzi nieczułość i obojętność na wszelką nędzę ludzką, który wiedzie człowieka do krzywdy, niesprawiedliwości, oszukaństwa, kradzieży, łupiestwa, a nawet często do zabójstwa? O nie, zaprawdę! interes ten własny nie może pobudzić człowieka do znacznych i wniostych czynów! Ewangelija św. nie powierza ubogich osobistemu interesowi bogatych, lecz poleca ich ogólnie miłości wiernych. Prawdziwem zaś i istotnem miłości tej piętnem jest bezinteresowność! „Miłość nie szuka swego“ (1. Kor. 13, 5). Miasto przeto obliczania zysków i korzyści za to dobre, które drugim pełnimy, nakazuje nam jak najwyraźniej Zbawiciel: „Gdy sprawujesz obiad, albo wieczerze, nie wzywajże przyjaciół twoich, ani braci twej, ani krewnych, ani sąsiadów bogatych, żeby cię snadź i oni zaś nie wezwali i nie stałać się nagroda; ale gdy sprawujesz ucztę, wezwij ubogich, ułomnych, chromych i ślepych: a będziesz błogosławionym, żeć nie mogą oddać“. (Łuk. 14, 12, 14.) O jakże daleką jest przeto chrześcijańska dobroczynność od owego brudnego samolubstwa i od liczenia na jakiebądź korzyści! jakże zacna zawsze i czystą w swoich pobudkach. Takie zaś szczerze, otwarte i proste miłosierdzie było ogólnem znamię Kościoła naszego od samego jego początku. I cóż jest pobudką do tej zadziwiającej szczodrości serca? Czy chrześcijanin nie ma rzeczywiście żadnego w tem interesu? Owszem, Najmils! ma on go także i to jeden tylko nie ziemski, nie doczesny, ale niebieski i wieczny. Wie on to i zna dobrze, że na rozdawane tu ziemskie dobra zbierać mu przyjdzie wieczne skarby, że jałmużna pokrywa mnóstwo grzechów, że nam pozyskuje łaskę Bożą, że nam bramę królestwa Niebieskiego otwiera. I pobudka ta silniejsza jest zaiste od owej synów świata, szukających już tu swojego zysku i swojej zapłaty za jakiebądź poniesione ofiary!

Drugim powodem ma być rozgłos i sława jaka z dobrych powstaje uczynków; a więc równie mniej zacna, poziomą nawet pobudką, wcale nie godna człowieka prawego, bo czemże jest sława, jeśli nie czasem kadzidłem i dymem, którymi mędrzec prawdziwy wzgardzić powinien? Czy więc spełnienie takiej miłości nie jest próżnością? A wybyście chcieli upatrywać w niej dobroczynność! O święta i Boska ewangelio! Ty nie potrzebujesz techtać naszej próżności, by nas pobudzić do dobroczynności; bo Ty jak najwyraźniej nam rozkazujesz: (Mat. 6, 1.) „Strzeżcie, abyście sprawiedliwości waszej nie czynili przed ludźmi,

aby widziani byli od nich, bo inaczej zapłaty mieć nie będziecie, u Ojca waszego, którem jest w niebiesiech. Gdy tedy czynisz jałmużnę... niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni. Aby jałmużna twoja była w skrytości, a Ojciec twój, który w skrytości odda tobie. Ponieważ tu zaś mowa o chwale, czy nie jest to chwała prawdziwa, która kryje się w głębi serca czułego i cnotliwego i nieskazitelną tam i czystą pozostaj aż do onej chwili, w której ją Bóg wyjawia w obliczu nieba i ziemi i uwije z niej wieniec niezwiędły dla tego, który tak godnym pokazał się naśladowcą nieskończonej jego dobroćliwości. Amen.

Wdzięczność robotnika.

OPOWIADANIE.

W środku okręgu przemysłowego przy końcu dość znacznej osady stała lejarnia jednego z możniejszych przemysłowców, radcy Ertla. Tuż obok budynków fabrycznych w pięknym ogrodzie był dom mieszkalny właściciela fabryki, a naprzeciwko znajdował się skład kolonjalny zamożnego kupca Pieprzyka. Za wysokimi oknami wystawnymi piętrzyły się głowy cukru obok miechów kawy, a rodzenki pomarańcze, orzechy, rozmaite słodycze i inne towary świadczyły, że w składzie można było wszystkiego dostać, z wyjątkiem ptasiego mleka, jak się to mówi.

Kiedy zazwyczaj wieczorem po ukończeniu dziennej pracy otwierały się bramy zakładu fabrycznego i tłum robotników wysypał się na drogę, dążąc ku domowi, — wybiegał śliczny i zwinny ośmioletni chłopczyk przed dom kupca, a stanawszy na uboczu, przyglądał się przechodzącym robotnikom, szukając bystreimi oczami znajomej sobie twarzy.

Było to właśnie w wigilię wielkiej nocy, kiedy widzimy małego Adasia, tak było synkowi pana Pieprzyka na imię, znowu na zwykłym miejscu przed domem ojca. Nagle zablęskły mu oczy radością, a spostrzegłszy w tłumie swego przyjaciela, pędem strzału pobiegł ku niemu i powitał go wesoło. Był to wysoki mężczyzna w sile wieku, z pełnym zarostem na twarzy, a gęste kędziory wychodziły mu z pod kapelusza, lekko na prawe ucho osadzonego. Szedł wolnym krokiem, jakby przyłoczony brzmieniem troski, a towarzysze pracy wymijając odzywali się z pewnym współczuciem, jakby mu chcieli dodać otuchy.

— Dobry wieczór, panie Pawelczyk — zawołał Adas, podając rękę zbliżającemu się przyjacielowi.

Lecz tenże, zatopiony w swoich myślach, zdawał się zrazu nie zwracać na chłopczyka, dopiero, kiedy chłopiec stanął tuż przed nim, zagradzając mu drogę, ocucił się z zadumy i uśmiechając się smutnie odparł;

— A, dobry wieczór ci, Adasiu. Nie zauważyłem cię zaraz.

— Co panu jest? — zapytał chłopiec. — Może jesteś pan chory, o, to chodź pan do mojej babci, ona zna się na chorobach i ma w swej apteczce domowej rozmaite lekarstwa na różne dolegliwości.

— Dziękuję ci, Adasiu, — odparł zapytany robotnik, a usta jego skurczyły się kurczowo, jakby mu się na płacz zbierało. — Dziękuję ci, — powtórzył — lecz na mój smutek niema żadnego lekarstwa.

— Żałuję mocno, — rzekł chłopiec z współczuciem. — Czekałem na pana, bo chciałem mu pokazać moje piękne jajka wielkanocne, podarowane mi przez kochanych moich rodziców. Czy dostaną je także pańskie dzieci, mały Karolek i Marysia?

Na wspomnienie o dzieciach odwrócił Pawelczyk smutną twarz w drugą stronę i z cichym westchnieniem odpowiedział:

— Myślę, że każdemu z nich także po kilka jajek się dostanie.

Adas pochwycił rękę swego przyjaciela i zapytał:

— Czy chcesz pan poczekać na chwilę na mnie?

Poczem wbiegł szybko do domu rodziców, a powróciwszy zadyszany podał swemu starszemu przyjacielowi jajko z serdeczną prośbą:

— Proszę, zjedz je pan w dowód naszej przyjaźni. Teraz dopiero roześmiał się Pawelczyk i rzekł:

— Prawda, Adasiu, myśmy już od roku dobrymi przyjaciółmi, a kiedy wracam z roboty do domu, zawsze mnie witasz mile. Niestety, wkrótce to ustanie, — dodał po chwili cichszym głosem:

— Nie mów pan tego, — odparł chłopczyk, gdyż by mnie to bardzo smuciło.

— Zobaczę, — brzmiała odpowiedź — lecz teraz muszę się śpieszyć do domu. Bywaj zdrów, Adasiu, — poczem Pawelczyk oddalił się szybkim krokiem.

Chłopiec wracał smutny do składu ojca, napróżno łamiąc sobie główkę nad pytaniem, coby mogło dolegać jego przyjacielowi. W składzie było pełno ludzi, robotników, z lejarni pana Ertla, a przysłuchując się ich rozmowie, dowiedział się z boleścią, iż jego przyjacielowi wypowiedziano robotę.

— Z jakiego powodu? — zapytał Adas ciekawie, lecz skarcony przez ojca, aby się nie mieszał do nie-swoich spraw, musiał pójść do tylnego pokoju. Tutaj stojąc przy drzwiach, słyszał, jak robotnicy opowiadali ojcu, dlaczego wydalono Pawelczyka z pracy. Oto, p. Ertel, obchodząc pewnego dnia warsztaty, zawołał na Pawelczyka, zajętego właśnie odlewem formy, aby mu coś powiedział. Pawelczyk ani się ruszył, chcąc ukończyć najpierw odlew. Wszakże łatwo mógł się roztopiony kruszec wylać z formy i cała robota byłaby na nic, a mogło też stać się jakie nieszczęście. Właściciel fabryki, widząc, że Pawelczyk się nie rusza z miejsca, zapominając, że tenże w pierwszym rzędzie dba o jego dobro, zgromił robotnika ostro, dlaczego natychmiast nie spełnił jego rozkazu. Pawelczyk, przekonany, że ma słuszość za sobą, odpowiedział cokolwiek uniesiony: „Przecież widzisz pan, że byłem zajęty odlewem a więc nie można odemnie żądać, abym się oddalił, zanim nie wykończę mej pracy“. Odpowiedź jeszcze więcej rozgniewała pracodawcę, dlatego krzyknął: „Ja tu rozkazuję, a wy macie słuchać, miałbym wielką ochotę wywalić was za nieposłuszeństwo z pracy“. Pawelczyk odparł, że nie byłoby to pierwszy raz, iż robotnik spełniający swój obowiązek sumienne, zostałby pozbawiony chleba. Odpowiedź ta do-lała tylko oliwy do ognia, a zaperzony pracodawca krzyczał dalej; „To was nic nie obchodzi; gdy was wołam, to powinniście rzucić wszystko i spełnić mój rozkaz“. „A chociażby interes na tem ucierpiał?“ — odparł również rozjątrzony robotnik. „To moja rzecz“, zakończył fabrykant, „a nie wasza“; teraz mam dosyć waszej zuchwałości, wypowiadam wam robotę“.

Oto całe zajście, które miało pozbawić chleba sumiennego robotnika, dbałego o dobro swego pracodawcy. Towarzysze pracy, opowiadając powyższą szczegóły kupcowi, przyznawali Pawelczykowi słuszość, tłumacząc, iż stał on się tylko ofiarą chwilowego uniesienia sprawiedliwego zresztą pracodawcy.

Mały Adaś, wysłuchawszy opowiadania robotników, wysunął się za jednym z nich ze składu i zapytał:

— Dokąd teraz pójdzie pan Pawelczyk?

Robotnik odpowiedział:

— Tego nie wiem, chłopcze; jest to jedyna lejarnia w tej okolicy, dlatego będzie musiał szukać dalej roboty, lecz zanim ją znajdzie, żona i dzieci umrą z głodu.

Adaś, biorąc te słowa dosłownie, stał przerażony, nie wiedząc na razie, w jaki sposób mógłby pomóc swemu przyjacielowi. Nagle przyszła mu jakaś myśl do głowy, twarzyczka mu się rozjaśniła i szybko pobiegł do kuchni, gdzie ze starą i pocziwą — do domu przywiązaną służącą Małgorzatą miał dłuższą naradę. Szeptał jej coś do ucha, obejmował rączkami za szyję, a z taką prośbą patrzył jej w oczy, że w końcu stara piastunka nie była w stanie się oprzeć i zaczęła swoją pieszczotkę przybierać w ubranie świąteczne. A czyniła to z taką troskliwością, że po chwili mały Adaś jaśniał w swej dziecięcej piękności. Zanim się oddalił, rzekł jeszcze do swej dawniejszej piastunki:

— Nieprawda, Małgorzato, będziesz się modliła gorąco do Boga i Najświętszej Marii za pomyślność mojego przedsięwzięcia?

— Nie bój się, drogie dziecko, — odpowiada ze łzą w oku stara sługa; — Bóg patrzy do wnętrza, twego serduszka, On widzi szlachetne pobudki, On też wysłucha twej prośby i w swej dobroci nieprzebranej poprawi to, co gniew ludzki zrobił złego.

Wkrótce potem do salonu, w którym siedział pan Ertel z swoją żoną, zapukał ktoś nieśmiało, a na głos pana domu: „proszę“ otwarły się drzwi i wszedł mały Adaś. Bez najmniejszego zażenienia ukłonił się przed państwem grzecznie i śmiało zapytał:

— Czy mógłbym na chwilę pomówić z panem Ertlem w sprawie fabryki?

Właściciel fabryki, znając synka swego sąsiada — chociaż tylko z widzenia, odparł:

— Ale owszem, młody sąsiedzie, czego sobie życzysz?

— Proszę, panie Ertel, nie wydalaj pan Pawelczyka z roboty, — rzekł chłopczyk, wznosząc swój wzrok błagalny ku bogaczowi.

Fabrykant, który się spodziewał może wszystkiego innego, tylko nie tej prośby, zmarszczył czoło, i zapytał szorstko;

— Kto cię przysyła, chłopcze?

— Nikt mnie nie przysłał — odpowiedział śmiało Adaś.

— Kłamiesz, — rzekł pan Ertel i spojrzał groźnie na chłopca.

— Nie kłamie, bo kłamstwo jest grzechem, dla tego zawsze go unikam — odparł Adaś, przyczem rumieniec okrył mu twarz, a w oczach zabłysła łza.

— Pawelczyk jest moim przyjacielem, a przyjacielowi trzeba pomagać w potrzebie. Nie powiedziałem nic mamie o moim przedsięwzięciu, tylko stara Małgorzata wie o niem, a udając się do pana, prosiłem gorąco Pana Boga, aby On raczył mi pobłogosławić.

Twarz fabrykanta rozjaśniła się na te słowa i już łagodniej zapytał:

— Ale skądże wiesz, że Pawelczyk odchodzi, przecież musiał ci coś sam o tem mówić?

— Nic mi o tem nie mówił, — brzmiała odpowiedź chłopca — od jego towarzyszy pracy dowiedziałem się o tem.

Przytem opowiadał Adaś wiernie swoje ostatnie spotkanie z Pawelczykiem i zakończył serdeczną prośbą:

— Wszak tak, panie Ertel, pan Pawelczyk może pozostać?

Od kiedy ty znasz Pawelczyka? — zapytał fabrykant.

— Już oddawna jesteśmy przyjaciółmi, — odpowiada Adaś, nabierając coraz więcej śmiałości. — Powracając z pracy, on mi niejedną rzecz objaśnia, stara się uprzyjemnić mi chwile, za co przygląnałem do niego całym sercem, a i rodzice moi go lubią.

Podczas, gdy młody Adaś tak gorąco przemawiał w obronie swego przyjaciela, p. Ertel rozmawiał po cichu ze swoją żoną, chociaż chłopczyk nic z tego nie rozumiał, bo mówili ze sobą po francusku. — Zdradzimy atoli tajemnicę, iż pani Ertlowa, szlachetna na wskroś kobieta, wystąpieniem małego Adasia tak bardzo się ujęła, że od razu stanęła po jego stronie.

— Nie może to być zły człowiek, — mówiła do swego męża, — jeżeli potrafi sobie zaskarbić taką przyjaźń i miłość dziecka. Jako twoja żona, powinienabym wprawdzie stanąć po twojej stronie, lecz w tym wypadku powiedziałabym: wy obaj mieliście słusność i niesłusność, lecz co do ostatniego punktu ty, drogi mężu, miałeś jej cokolwiek więcej, aniżeli Pawelczyk, boć wszakże on tylko w twoim własnym interesie występował.

Fabrykant starał się osłabić wywody swej małżonki tem, że przecież Pawelczyk ciężko go obraził, odpowiadając mu szorstko na robione zarzuty. Lecz pani Ertlowa wytumaczyła mężowi, że przecież od robotnika nie można wymagać tej samej towarzyskiej oglady, co od ludzi wykształconych, boć oni przechodzą ciężką szkołę życia, a więc i charakter ich jest szorstki. A więc nie słowa — kończyła pani Ertlowa — powinna tu zaważyć, lecz pobudka, a ona była uczynną i dobrą u człowieka, któregoś, drogi mężu wydalili.

— Ale przecież on mi odmówił posłuszeństwa, — starał się jeszcze bronić fabrykant.

— Tem łatwiej przyjdzie ci — odparła z uśmiechem żona — mu przebaczyć. Gdyby wykroczył przeciwko jednemu z twoich urzędników, musiałbyś z tego ostatniego brać wzgląd; ale tak sprawa tylko ciebie obchodzi ty jesteś panem w twojej fabryce, nie potrzebując nikomu zdawać sprawy z tego.

Wobec takiego adwokata nie śmiał już dalej opierać się fabrykant, tem więcej kiedy mu rzekła: patrz, mój mężu drogi, jutro jest Wielkanoc, a wczoraj mieliśmy Wielki Piątek, dzień, w którym Pan Jezus za nas poniósł śmierć męczeńską. Czyś nie pomyślał nigdy, jak dobrotliwym jest Bóg dla nas, grzesznych ludzi? Gdyby i On nie chciał nam przebaczyć, ile razy Go obrazimy, iluż ludzi dostałoby się do nieba? Chyba jeden co 10 lat, a może i mniej jeszcze. Czyż to nie najpiękniejsze i najszczytniejsze zadanie człowieka, jeżeli może niejako pod tym względem dorównać Panu Bogu, przebacząc urazy swemu bliźniemu? Tu, mój drogi, możesz się okazać wspinałomyślnym, a równocześnie sprawiedliwym. Wybaczyć robotnikowi jego szorstkie wystąpienie, pamiętać, że kierowały nim dobre pobudki i pozostaw go przy robocie, nie pozbawiaj go chleba. Zgotujesz tem największą radość wielkanocną jemu i jego dzieciom, zachowując ich może od nędzy i głodu. Pamiętaj, że będziesz może kiedyś potrzebował także miłosierdzia Bożego zamiast sprawiedliwości.

I cóż mógł bogaty fabrykant uczynić wobec takich wywodów? Uprzytomnił sobie w duchu, że rze-

„Wziewście człowiek nie mógł być złym, jeżeli potrafił sobie zaskarbić taką miłość dziecka, to też zwracając się z uśmiechem do swej małżonki rzekł:

— Powiedz chłopcu, moja droga, co ma powiedzieć Pawełczykowi.

A pani Ertlowa przyciągnęła chłopca ku sobie i składając pocałunek na jego czole rzekła z uśmiechem:

— Idź, Adasiu, do Pawełczyka i powiedz mu, że pozostaje w miejscu, a pracodawca życzy jemu i jego rodzinie szczęśliwych świąt.

Chłopiec wzruszony, zaledwie zdołał podziękować, potem wybiegł na ulicę z radością w sercu — i spotkał rodziców, idących do kościoła. Przyłączył się do nich i prawie tchu mu zabrakło, gdy im opowiadał, co się stało, a gdy to samo oznajmił Pawełczykowi przed kościołem, radość tegoż nie miała granic.

Jdyna odpowiedź poczołwego człowieka była: „Tego chłopcu nigdy nie zapomnę, niech go Bóg, błogostawi“. A ogólnej radości wtórowały wielkanocne dzwony i śpiew wspaniały: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, „Chrystus jest zmartwychwstan, Alleluja!“

Kilka lat upłynęło od tej chwili. W domu kupca Pieprzyka panował wielki smutek, gdyż jedyna pociecha całej rodziny, mały Adaś złożony był ciężką chorobą. Naprózno strapiiony ojciec przywoływał — najbieglejszych lekarzy, nie szczędził kosztów na leki i pokrzepiające środki, chłopczyk gał w oczach, a nad jego łóżeczkiem zdawał się już unosić anioł śmierci.

Na plecach chłopczyka utworzyła się otwarta rana, wszelkie zabiegi lekarzy i lekarstwa pozostawały bez skutku. Stroskani rodzice siedzieli przy łóżku, swego ulubieńca, nie śmiąc już wzajemnie dodawać sobie nadziei. Zwłaszcza ojciec odczuwał ten cios boleśnie, bliskim był rozpaczcy i zwątpienia o miłosierdziu Bożem. I nie można się dziwić biednemu ojcu, kiedy tylko w jednym Bogu spoczywała cała nadzieja, od Jego woli li tylko zależało, aby to życie nie uleciało na zawsze z wątego ciała.

W takich wypadkach o wiele mężniejsze są niewiasty, matka czuwająca przy łożu chociażby umierającego dziecka jeszcze nie traci nadziei i do ostatniej chwili stara się pocieszyć męża, jak to brzmi w pięknej pieśni naszej;

„Z ufnością żona modły w niebo śle
I łzą przemawia; nie rozpaczaj, nie“.

Tak samo i pani Pieprzykowa starała się, o ile to w jej siłach było, dodać otuchy mężowi, namawiając go, aby przecież raz użył przechadzki i zabawił się w gronie swoich znajomych.

Z początku wzbierał się biedny ojciec, niechając ani na chwilę odstępować swojego ulubieńca, w końcu pozwolił się namówić, a kiedy wyszedł na świeże powietrze i wszędzie spotykał jak najczulsze objawy współczucia, lżej mu się czyniło na sercu. Kiedy wstąpił następnie do lokalu, w którym zbierali się jego znajomi, zarzucono go pytaniami, czy rzeczywiście nie ma już sposobu ratowania chłopca.

— Owszem jest, — odpowiedział stroskany ojciec — niestety jest on niemożliwy do wykonania. Lekarze stwierdzili, iż skóra i ciało w jednym miejscu na plecach popadło w pewien rodzaj zapalenia i zgnilizny. Kawał ten musi być wycięty, ale, ak lekarze powiadają, chłopiec pozostanie na zawsze kaleką

Środka, który zalecają lekarze, nie można nabyć w żadnej aptece. Chodzi o to, że gdyby można w miejscu gnijącej skóry i mięsa wsadzić odpowiedni kawał z ciała zdrowego człowieka wtenczas byłaby nadzieja ratunku. Sam się ofiarowałem do tego — mówił biedny ojciec dalej ze łzami — ale lekarze oświadczyli, iż nie jestem dość silny, aby znieść operację. Chętniebym ofiarował i tysiąc marek temu, któryby to na mojem miejscu uczynił, lecz gdzie się taki człowiek znajdzie, któryby poświęcił własne ciało dla zdrowia mego dziecka? Czyż więc rozpacz nie może ogarnąć człowieka?

— Nie poddawaj się pan rozpaczcy, — odezwał się w tej chwili głos po za plecami kupca przy bocznym stole.

Siedział tam robotnik Pawełczyk i przysłuchiwał się opowiadaniu kupca, a gdy usłyszał, jakie niebezpieczeństwo grozi jego małemu przyjacielowi, który go kiedyś wyratował od nędzy i głodu, nie zawahał się ani chwili przed poświęceniem.

Zanim zadziwiony kupiec zdołał przyjść do słowa, Pawełczyk już mówił dalej:

— Pan wiesz, jaką przysługę oddał mi pański synek, zachowując mnie i rodzinę moją od nędzy i rozpaczcy, wtedy już postanowiłem mu się odwdziżyć, skoro tylko sposobność się nadarzy. Otóż dziś jest sposobność. Jestem silny i zdrow, a także ufam w Bogu, że mi doda sił, abym mógł memu małemu przyjacielowi pomóc. Masz pan moją rękę na to.

O żadnem wynagrodzeniu Pawełczyk słuchać nie chciał i zaledwie się zgodził, że kupiec zapłaci kosztła operacji i leczenia, oraz będzie w czasie jego choroby starał się o utrzymanie rodziny Pawełczyka. Ponieważ zaś lekarze orzekli, że Pawełczyk jest rzeczywiście dość silny, aby przetrzymać taką operację, przeto przystąpiono bezzwłocznie do dzieła, które się też zupełnie udało.

Gdy Pawełczyk stanął przy stole operacyjnym, lekarze chcieli go uspić, na co jednak nie przystał, mówiąc, że czuje się na siłach, ażeby boleści przetrzymać. Lekarz, pełen podziwu nad męstwem Pawełczyka, dokonał operacji bez uspienia.

Mimo to szlachetny postępek Pawełczyka nie pozostał bez nagrody, bo jego pracodawca, dowiedziawszy się o tak bezprzykładnem poświęceniu, przybył już po dokonanej operacji do łoża chorego, zapewniając go o owej życzliwości i napominając — aby nie zawczasie wstał z łożka, tylko odczekał zupełnego wyzdrowienia. Jego rodzina nic na tem nie ucierpi, bo zarobek będzie mu wypłacony, jakby był przy robocie.

Ze swej strony ukazał się teraz ojciec Adasia u party, a stojąc przy łóżkach swego ulubieńca i tegoż wiernego przyjaciela, oświadczył stanowczo, że przyrzeczone tysiąc marek składa do kasy oszczędności na nazwisko Pawełczyka, aby dzieci swoje mógł wychować na porządnym ludzi i potężnych członków społeczeństwa.

A właśnie, kiedy szczęśliwi rodzice Adasia i rodzina Pawełczyka otaczały łoża do zdrowia powracających już pacjentów, znowu były radośnie wielkanocne dzwony i rozległa się po świątyniach Pańskich pieśń Zmartwychwstania:

„Dzięki, pienie, wysławienie Bogu miłosiernemu,
Barankowi, Chrystusowi, chwałą uwielbionemu“.